

WYTĘSKNIONA OJCZYZNA

Z ELEONORĄ BERGMAN, GRZEGORZEM BERENDETEM
I KRZYSZTOFEM KAWALCEM ROZMAWIA BARBARA POLAK



B.P. – Relacje polsko-żydowskie w okresie międzywojennym często przedstawia się w demoniczny sposób, a polską politykę jako wrogą i agresywną wobec społeczności żydowskiej (co ma w jakimś sensie tłumaczyć okrutny los polskich Żydów, jaki im zgotowali Niemcy w czasie II wojny światowej). Ma to niewiele wspólnego z rzeczywistością, choćby z tego względu, że sytuacja państwa i jego obywateli w tak długim okresie ulegała zmianie, była dynamiczna i nie daje się skwitować jedną konstatacją. Przyjrzyjmy się stanowi spraw w momencie, gdy Polska zaczęła mieć szansę na odbudowę własnego państwa. Jak wówczas wyglądały stosunki między Polakami i Żydami pochodzącymi z różnych zaborów i jak dalej wpływało to na interesujące nas relacje? Czy można było jakoś modelować sytuację społeczności żydowskiej i jej nastawienie do powstającego państwa? Jaki był udział i zaangażowanie tej społeczności w walce o niepodległość?

K.K. – Nie wchodząc w zaszczości – były to bowiem zdarzenia bardzo różne i o różnej wadze, niekiedy relatywnie drobne – można mówić o dwóch generalnych determinantach, które popychały ludzi przeciw sobie, niezależnie od uwarunkowań kulturowo-cywilizacyjnych, religijnych, językowych itp. Pierwszą była bieda – o skali której możemy mieć pojęcie jedynie przybliżone – która wpływała na to, że wszelkie konflikty przejawiały się i rozgrywały ze szczególną brutalnością. Drugą – głęboka destabilizacja istniejącego porządku społecznego, z czym się wiązały i obawy o przyszłość, i nadzieje, że wiele problemów uda się szybko rozwiązać i tak uregulować sprawy, by w przyszłości znikł wszelki ucisk i ludzka krzywda. Te oczekiwania, zarówno elit, jak i poza ich kręgiem, szły bardzo daleko, a determinacja, by usunąć wszelkie przeszkody, które piętrzą się na tej drodze, też była bardzo silna. Jestem sceptyczny odnośnie do możliwości odwrócenia takiego konfliktogenego biegu wydarzeń, bo wiem, jak jałowe okazały się próby rozwiązywania problemów w sposób kompromisowy – podejmowane również w obrębie takich środowisk, których nie podejrzewa się o zamiar działań koncyliacyjnych. Myślę tu w szczególności o politykach związanych z prawicą endecką – o rozmowach, które z reprezentantami społeczności żydowskiej prowadzili Roman Dmowski (w Stanach Zjednoczonych) czy Stanisław Kozicki (w Anglii). Przy czym, przynajmniej w przypadku pierwszego z nich, z tymi rozmowami wiązały się nadzieje na coś, do czego się Dmowski nigdy potem nie przyznał, pisząc np. *Politykę Polską i odbudowanie państwa*, czyli na to, że Żydzi poprą program terytorialny Polski, i że można byłoby postużyć się nimi jako czymś w rodzaju narzędzia w walce o Polskę w takich granicach, jakie sobie Dmowski wymarzył.



B.P. – Dlaczego tych zamysłów nie próbowano realizować?

K.K. – Bo rozmowy okazały się jałowe, a rozwijającemu się konfliktowi sprzyjały czynniki obiektywne: prócz wspomnianej biedy struktura własnościowa – także w handlu – i (co było jedną z przyczyn

alarmów dotyczących aktów gwałtu wobec Żydów) mnożące się przypadki napadów rabunkowych oraz zajęcia majątku. W warunkach załamania się porządku społecznego, gdy jednocześnie masa ludzi miała dostęp do broni, zajmowanie placówek handlowych i dworów czasami przybierało gwałtowną formę. To nie było tak, że tylko żydowskie sklepy podlegały rozbiciu czy zaborowi mienia; takich aktów było znacznie więcej i ich ofiarą padali także chrześcijanie. Rabowano dwory i sklepy – z tym że we dworze była zwykle dubeltówka i to nie jedna, natomiast w przypadku małych sklepików możliwości obrony były niewielkie. Zatem przez ziemie polskie przeszła cała seria takiego rodzaju zdarzeń, które w warunkach zwiększonej wzajemnej nieufności były interpretowane (i chyba nadal bywają) jako przejaw konfliktu na tle narodowościowym. Co oczywiście nie znaczy, że tego rodzaju motywacja w niektórych przypadkach nie występowała, ale mam duże wątpliwości, czy dominowała. Niemniej zatruwało to stosunki i skutkowało np. alarmami prasowymi, polemikami, rzutując na przebieg rozmów – tam, gdzie były one prowadzone.

Jeżeli mówimy o elitach i o tym, co polskie elity w tej kwestii artykułowały, to także w obrębie obozu liberalno-socjalistycznego istniała całkiem spora płaszczyzna konfliktu w relacjach ze społecznością żydowską. Socjalistyczni radykałowie nie mieli dla religii żydowskiej więcej szacunku niż dla innych religii, traktowanych jako anachronizm – i jakkolwiek z racji wpływów to Kościół katolicki był ich głównym przeciwnikiem, jednak potencjalnie napięcia pojawiać się mogły i na innych wyznaniowych „frontach”, w tym na obszarze relacji polsko-żydowskich.



E.B. – Jednak trzeba powiedzieć o skali tych konfliktów i o skali tych gwałtów – jak je pan nazywa, czy pogromów – jak przeważnie się to nazywa. Myślę, że jeżeli takie były reakcje, w warunkach biedy, zniszczenia kraju, to znaczy, że to były reakcje stereotypowe, głęboko ugruntowane – w takich warunkach zwracano się właśnie przeciw Żydom. Pan powiedział, że nie tylko przeciw Żydom, ja nie znam innych przypadków...

K.K. – Przykładem jest choćby Republika Tarnobrzeska i najścia na dwory na tym terenie. Do incydentów dochodziło w Lubelskiem, gdzie zradykalizowali się fornale. Jeśli natomiast rozciągnąć pole widzenia na Kresy, to groźbę zieleje nawet z bardzo pogodnej i wyważonej relacji Antoniego Kieniewicza *Nad Prypecią, dawno temu...*

E.B. – ...czyli walka klasowa... Niemniej trzeba byłoby powiedzieć, jaka to była skala. Mówi pan, że Dmowski chciał się oprzeć na Żydach, lecz traktował to wyłącznie instrumentalnie. Ale poza tym przecież to była ogromna społeczność, bardzo zróżnicowana i myślę, że tego typu sformułowania też wskazują na postrzeganie tej społeczności jako monolitu, zbiorowości homogenicznej, a to kolejny zakorzeniony stereotyp.

B.P. – Teraz jednak mówimy o elitach.

G.B. – Z moich badań nad relatywnie najmniej liczną społecznością wyznaniową żydowską – na terenach dzielnicy pruskiej – wynika, że na przełomie roku 1918 i 1919 zajmowała ona stanowisko jednoznacznie proniemieckie. Jej przedstawiciele czuli się Niemcami wyznania mojżeszowego. W przypadku dzielnicy pruskiej skutkowało to tym, że polskie elity narodowe, ale i przeciętni polscy mieszkańcy tej dzielnicy odbierali miejscowych Żydów jako element antypolski, proniemiecki czy wręcz niemiecki, który należałoby maksymalnie osłabić, podobnie jak innych Niemców. W środowisku polskim nie



udawano więc żalu, gdy miejscowi Żydzi – korzystając z prawa opcji – emigrowali po 1919 r. do Niemiec lub Wolnego Miasta Gdańska.

Zjawisko utożsamiania się Żydów z polskimi aspiracjami narodowymi i państwowymi w największym stopniu występowało na terenie dawnego zaboru austriackiego. Wynikało to przede wszystkim z tego, że ta część kilkudziesięciu roczników młodzieży żydowskiej, która zdobyła świeckie wykształcenie, otrzymała je w szkołach z polskim językiem nauczania, na uniwersytetach we Lwowie i w Krakowie. Tam zawiązywały się przyjaźnie i tworzyła wspólnota ideowa, determinująca późniejsze życiowe wybory. Proszę zauważyć, że z tamtej właśnie dzielnicy wywodziło się kilkuset Żydów, którzy od 1914 r. aż do 1917 r. walczyli w Legionach, a później w innych formacjach, uczestnicząc w zmaganiach o polskie państwo i jego granice. Inna istotna grupa ukształtowała się w środowisku rodzin asymilowanych, zamieszkałych w dużych miastach Królestwa Polskiego.

Zajmowałem się w swoim czasie obecnością wątków żydowskich we wspomnieniach Polaków-chrześcijan, opisujących lata 1918–1921, czyli okres walki o niepodległość i granice. Kilkudziesięciu autorów poświęciło ludności żydowskiej minimalną uwagę. Dla nich społeczność żydowska – licząca miliony ludzi na terenach, na których toczyły się walki – jakby nie istniała. Natomiast wspominając swoich kolegów – towarzyszy broni, którzy byli Żydami czy byli pochodzenia żydowskiego – w ogóle nie dokonywali rozróżnienia na: my – oni.

B.P. – Łączyła ich wspólna historia czy wspólna idea?

G.B. – To była wspólnota idei i celów. Dążyli oni do odrodzenia państwa polskiego. Poza tym łączyła ich również afirmacja społeczeństwa demokratycznego, znoszącego dawne podziały stanowe. Mieli nadzieję, że odrodzona Polska będzie państwem gwarantującym w przestrzeni publicznej równe szanse wszystkim, niezależnie od wyznania i pochodzenia etnicznego. Dodam jednak, że mówię teraz o stosunkowo nielicznej grupie polskich Żydów czy raczej już Polaków wyznania mojżeszowego. Trzeba zaznaczyć, że żydowskich mieszkańców przedrozbiorowych ziem polskich znajdujemy w mundurach i w szeregach wszystkich formacji walczących ze sobą na tych terenach. Były oddziały żydowskie u boku Litwinów – a więc walczące i z bolszewikami, i z Polakami. Odrębne oddziały żydowskie walczyły pod sztandarami Republiki Ukraińskiej. Byli Żydzi, którzy szli pod sztandarami rewolucji bolszewickiej, realizując bolszewickie interesy wymierzone w Polskę. Byli też i tacy – wierni idei państwa niemieckiego – którzy walczyli przeciw Polsce na terenach zachodnich. I wreszcie ci, którzy z wyboru – a od roku 1919 z obowiązku, w wyniku mobilizacji – walczyli w szeregach Wojska Polskiego z wszystkimi, wcześniej wymienionymi.

I nie wolno zapominać, że wszyscy wymienieni walczący pod różnymi sztandarami to łącznie w najlepszym razie kilkadziesiąt tysięcy ludzi, a pozostali to była kilkumilionowa rzesza Żydów, którzy po prostu chcieli przetrwać czas wojny i towarzyszącej jej anarchii. Pan profesor mówił o elitach, a tu mamy masę. Po czterech czy pięciu latach krwawej wojny absolutna większość jej uczestników chciała wrócić do domu i spokojnie żyć. To właśnie uderza w tych wspomnieniach, gdy mowa o przełomie lat 1918 i 1919. Miliony mężczyzn wcale nie tęskniły wówczas za tym, by spędzić kolejne lata w okopach. Entuzjazm oraz owe dziesiątki i setki tysięcy ochotników, stawiających się do szeregów Wojska Polskiego pojawiły się dopiero w 1920 r.

K.K. – Ale nadal to była młodzież.

G.B. – Tak, i to przede wszystkim młodzież gimnazjalna i akademicka. Idealiści. Inni najchętniej siedzieliby w domu, pilnując wąsko rozumianych prywatnych interesów. Powrócę jednak do zagadnienia zachowań Żydów w tym przełomowym okresie. W miasteczkach i dzielnicach żydowskich z trwogą obserwowano wchodzące do nich formacje – zadawano sobie pytanie, czy będzie spokój, czy też przeciwnie, dojdzie do aktów gwałtu i przemocy wymierzonych w ludność cywilną. Przeciętnych Żydów – zwłaszcza na Kresach – nie interesowało, kto nadchodzi, lecz jaki jest stosunek tego wojska do Żydów. Stąd w żydowskiej pamięci bardzo źle się zapisał gen. Józefa Hallera, którzy niejednokrotnie dopuszczali się szykanowania Żydów...

K.K. – ...czy żołnierze białoruskiego sojusznika Józefa Piłsudskiego, gen. Stanisława Bułak-Bałachowicza, stanowiący bodaj największy problem, jeśli chodzi o rozmiary spustoszenia, które pozostawili za sobą.

Padło tu słowo pogrom. Często obejmuje się tym terminem zdarzenia bardzo różne, w bardzo różny sposób udokumentowane i jest wątpliwe, żeby można było je mierzyć jedną miarą. W przypadku wydarzeń lwowskich to słowo – także wedle tego, co można by sądzić z dokumentów znajdujących się w zasobie Komitetu Narodowego Polskiego – jest uzasadnione. Podobnie co do poczynañ ludzi Bałachowicza, bo to były bestialstwa żołdactwa, które znajdowało się poza kontrolą. Natomiast w przypadku wydarzeń w Wilnie czy Pińsku, bez wchodzenia w szczegóły, można zadać pytanie – w jakiej mierze działania represyjne, podjęte przez wojsko odbiegały od standardowych w owym czasie zachowań armii, która wkroczyła na obszar niechętnego sobie miasta i wymuszała posłuch. Czy poczynania wojsk polskich różniły się od tego, co w takiej sytuacji wcześniej zrobiliby Niemcy czy armia austro-węgierska?

Po fali doniesień informujących o aktach gwałtu w Polsce pojawiło się kilka komisji alianckich. Ich werdykty były dla Polski, ogólnie rzecz biorąc, korzystne. Można się oczywiście zastanawiać, jak te raporty powstawały, według jakich kryteriów komisje oceniały sytuację, ale w tych komisjach byli jednak ludzie, którzy mieli za sobą wojnę, widzieli niejedno. I wedle ich miary nie działo się tu nic takiego, co potwierdzałoby oskarżenia, do których mieli się oni ustosunkować. I właściwie tylko tyle można powiedzieć.

B.P. – Ważne jest też pytanie o skalę zająć.

K.K. – Jeżeli przytoży się skalę najbardziej właściwą, humanistyczną, zakładającą, że żaden człowiek nie powinien zginąć niewinnie, to sprawa jest jasna i właściwie nie ma o czym mówić. Można jednak przytożyć skalę nieco relatywizującą – uwzględniającą to, co w owym czasie działo się na obszarze objętym rosyjską wojną domową, w szczególności na terenie Ukrainy, gdzie odbywały się największe pogromy. Nie usprawiedliwiając niczego, co działo się na obszarze objętym kontrolą armii polskiej i tych organów władzy, które mogły wziąć odpowiedzialność za to, co się dzieje (tu zrobię małą dygresję – o realnej odpowiedzialności można mówić od roku 1919, czyli od momentu, w którym administracja już nieco okrzepła, bo to, co działo się jesienią 1918 r., to był żywioł i w tym przypadku pojęcie odpowiedzialności jest bardzo umowne) – to w zestawieniu z tym, co działo się na obszarze podległym – też, w dużej mierze jedynie formalnie – jurysdykcji Petlury czy Wrangla, to właściwie nie ma czego porównywać.

B.P. – A jednak na Zachód docierały jedynie informacje o straszliwych pogromach, które trwają na ziemiach polskich.

K.K. – Różnie to można tłumaczyć. Jedną z możliwych przyczyn tego wysoce selektywnego informowania mogła być taka, że do Polski można było mimo całego chaosu i zamętu dojechać i wrócić z niej, a potem opowiedzieć, co się widziało. Wyjazd na tereny objęte rosyjską wojną domową był przedsięwzięciem ryzyka większego o rząd wielkości. Ówczesne media po prostu sprzedawały „newsy”, a nie starały się syntetyzować obrazu. I dzisiaj często tak działają. Natomiast z polskiej perspektywy – można to śledzić w dokumentacji pozostawionej przez KNP – taki stan rzeczy wywoływał uczucie niezastufzonej krzywdy oraz wściekłości, co u niektórych polityków przeszło później w rodzaj urazu trwałego. Przecież oni byli zorientowani, co się dzieje u nas i na wschodzie i uważali, że jeśli Polskę się oskarża, a milczy się o tym, że na wschód od linii jej wojsk dzieją się rzeczy o wiele straszniejsze, to ktoś chce tu coś ugrać i gra nieczysto.

B.P. – Miało to wpływ na późniejsze układanie się relacji polsko-żydowskich w państwie niepodległym?

K.K. – Na pewno tak, chociaż trzeba tu zachować ostrożność. Wrażenia kilkunastu polityków w Państwie były ich osobistym przeżyciem. Mieli kontakt z krajem, przekazywali je; potem wrócili i chociaż

w pierwszych latach niepodległości nie mieli wielkich wpływów, później one stopniowo rosły. W krótkiej perspektywie znaczenia tego rodzaju urazów nie ma co przeceniać, potem jednak sytuacja się skomplikowała. Dmowski napisał relację ze swoich paryskich działań (*Polityka polska...*), Kozicki stał się na dłuższy czas głównym komentatorem „Gazety Warszawskiej”, ekspertem od spraw międzynarodowych.

G.B. – Od schyłku XIX w. daje się zauważyć pewne zaskoczenie czy wręcz irytację przedstawicieli polskich elit niepodległościowych – niezależnie od tego, jaką reprezentowali orientację ideową – tym, że niepolscy pod względem etnicznym mieszkańcy historycznych ziem polskich artykułują niezależne programy narodowe, kulturalne, a nawet terytorialne. Te aspiracje nie zniknęły, a wręcz nasiliły się w okresie I wojny światowej, w dużym stopniu za sprawą niemieckiej polityki w Europie Środkowo-Wschodniej. Jej twórcy zręcznie popychali przeciw sobie Litwinów, Ukraińców, Białorusinów, Polaków i Żydów. Ingerencja czynników zewnętrznych nie zakończyła się bynajmniej jesienią 1918 r. W kontekście relacji polsko-żydowskich istotne są działania wpływowych środowisk żydowskich, które występując w obronie współwyznawców, starały się wywrzeć wpływ na stan spraw w Polsce. To zaś przyjmowano nad Wisłą jako zamach na suwerenność dopiero co odrodzonej Rzeczypospolitej. Na przykładzie dokumentacji zachowanej w Gdańsku wiem, że wiosną 1919 r. nastrajano antypolsko członków miejscowej gminy wyznaniowej żydowskiej, jednoznacznie lojalnej wobec państwa niemieckiego – przedstawiając odrodzone państwo polskie jako barbarię, w której Żydzi spotkają się tylko z dyskryminacją i agresją fizyczną. Zatem członkowie gminy gdańskiej i innych gmin na terenie tzw. Prus Zachodnich powinni zrobić wszystko, co w ich mocy, by nie dostać się pod władzę tych „barbarzyńskich Polaków”, którzy sami odzyskawszy niepodległość, zaczynają uciskać – jak to wówczas mówiono – inne narody. Niewątpliwie konflikt polsko-żydowski był podsycany i rozgrywany również przez czynniki obce. W tym przypadku niemieckie. Wiele złego uczynili również – relatywnie nieliczni, ale bardzo ruchliwi i aktywni – żydowscy sympatycy bolszewizmu. O nich będziemy jeszcze musieli osobno wspomnieć.

E.B. – Myślę, że trzeba pamiętać o jednym jeszcze czynniku, mianowicie o syjonistach. Powstanie ruchu syjonistycznego pod koniec XIX w. dodatkowo bardzo poróżniło i spolaryzowało społeczność żydowską, choć oczywiście znów mówimy o części społeczeństwa. Na terenie dawnej Galicji, skąd pochodziło tyłu legionistów, syjonizm budził zainteresowanie nie tylko elit. W dawnym Królestwie Kongresowym te proporcje były inne, ale np. Warszawa stała się ważnym ośrodkiem syjonizmu. Trzeba jednak pamiętać, że ludzie, którzy formułowali programy syjonistyczne po odzyskaniu niepodległości – w jakimś sensie dystansując się od państwa w planach na przyszłość – w danym momencie byli lojalnymi jego obywatelami, oczywiście walczącymi o usunięcie dyskryminacji i pełne równouprawnienie Żydów. W konfliktach polsko-niemieckim czy polsko-ukraińskim syjoniści deklarowali neutralność.

G.B. – Polski „naród polityczny”, czyli ówczesne elity, oczekiwał od wszystkich grup etnicznych jasnej deklaracji poparcia dla idei państwa polskiego i granic tego państwa. Tymczasem owi mieszkańcy, nie-Polacy, nie byli gotowi udzielić poparcia Polakom, ponieważ – Białorusini i Ukraińcy, a także Litwini i Niemcy – mieli własne aspiracje niepodległościowe i własne, odrębne projekty terytorialne.

Chciałbym nawiązać do pani pierwszej uwagi o dynamice stosunków polsko-żydowskich. Nie były one statyczne, nie było też niezmiennych programów. Zarówno żydowscy socjaliści (członkowie partii Bund), jak i syjoniści, jeszcze w 1916 i 1917 r. – gdy nie było pewności, że państwo polskie stanie się faktem – szukali porozumienia i prowadzili dyskusje z tymi, którzy wówczas byli realną siłą: demokratyczną, białą Rosją i rządem Cesarstwa Niemieckiego. Od każdego podmiotu polityczno-państwowego, który objąłby władzę nad obszarami zamieszkanymi przez miliony Żydów, bundowcy oczekiwali zapewnienia możliwości rozwoju żydowskiej kultury narodowej, pełni praw obywatelskich i ochrony interesów socjalnych żydowskiego proletariatu. Przed końcem 1918 r. nie sposób ich przedstawiać jako reprezentantów „orientacji na Polskę”. Większość z nich jednak przyjęła do wiadomości odrodzenie Rzeczypospolitej i wywizywała się wobec niej z obywatelskich obowiązków. Podobnie rzecz się miała z syjonistami, o których poparcie intensywnie zabiegał wcześniej rząd w Berlinie. Poza

radykalną lewicą syjonistyczną, skłaniającą się ku zmianom ustrojowym typu bolszewickiego, syjoniści dopasowali swoje programy do zasad ustrojowych i celów państwowych Rzeczypospolitej. Od polskiego rządu oczekiwali uznania prawa Żydów do kultywowania i wzmacniania świadomości narodowej oraz prowadzenia działań na rzecz zbudowania siedziby narodowej w Palestynie. Tego prawa im nie odmówiono. Natomiast ani Józef Piłsudski, ani premier Ignacy Paderewski nie zgodzili się na wyłączenie obywateli narodowości żydowskiej spod praw ogólnie obowiązujących w państwie. Żydowscy narodowcy niechętnie przyjęli to do wiadomości. Tym bardziej że nie zdobyli poparcia środowisk ortodoksyjnych i bundowców.

E.B. – Chodziło o autonomię kulturalną. Miała to być forma samorządu mniejszości narodowej, umożliwiająca swobodny rozwój kultury narodowej, w tym szkolnictwa. Program ten był przyjęty zarówno przez Bund, jak i przez syjonistów. Chodziło tu o prawo do używania języka narodowego w kontaktach z urzędami państwowymi i o prawo do nauczania w nim. Organizacja autonomii miała być oparta na instytucjach gminnych; choć nieformalnie, w jakimś sensie byłoby to nawiązanie do organizacji Żydów w I Rzeczypospolitej.

K.K. – Dotykamy kilku palących rzeczy. Można powiedzieć, że w tym czasie różne grupy narodowościowe – jeśli nie wszystkie, tworzące dawną Rzeczpospolitą – artykułowały swoje dążenia. Ścisłej mówiąc, czyniły to ich elity. To, co zostało powiedziane o syjonistach, nie da się rozciągnąć na całą społeczność żydowską, podobnie jak nie można polskich programów narodowych rozciągnąć na całą społeczność polską. To prawda, ale... Każdy ruch narodowy przemawia w imieniu całości, nawet jeśli w wyborach tylko część tej całości na niego głosuje. Gdyby próbować zrobić mapę zagrożeń i problemów, które ówczesna Polska miała przed sobą, to postulat autonomii kulturalnej z pewnością nie był największym problemem. Inne grupy narodowościowe, z którymi tworzące się państwo miało do czynienia, artykułowały gorsze z polskiego punktu widzenia postulaty, dążąc do własnego państwa o granicach wchodzących głęboko na obszar polskich aspiracji terytorialnych, jak Ukraińcy czy Litwini, albo – jak Niemcy – w sposób trwały identyfikując się z poczynaniami państwa prowadzącego wrogą politykę wobec Polski. Oczywiście zatem, że państwo miało większe smartwienia, niż konieczność ustosunkowania się do postulatów autonomii kulturalnej Żydów.

Nie zmienia to jednak faktu, że zgoda na nią nie wchodziła w rachubę z różnych powodów. Najistotniejsze były obawy przed tworzeniem precedensu, który mogłyby wyzyskać inne grupy mniejszościowe. Trudno byłoby także znaleźć takie rozwiązania szczegółowe, które ograniczyłyby płaszczyznę konfliktu – również tego w obrębie społeczności żydowskiej, której znaczna część głosowała na polskie partie polityczne. Z punktu widzenia lewicy perspektywa odrębnej reprezentacji Żydów oznaczałaby ubytek głosów, co nie było dla niej kuszące i nie sprzyjało (niezależnie od wszelkich motywacji narodowych) pozytywnemu zainteresowaniu postulatami autonomii kulturalnej Żydów.

Można powiedzieć, że jeśli chodzi o wzajemne nastawienie elit, to sytuacja, w której pojawia się szansa artykułowania dążeń, była konfliktogenna z natury rzeczy. Różnicowała losy poszczególnych grup etnicznych – wcześniej do siebie podobne. Nie wszystkie zyskały – jak Polacy – szansę odbudowy państwa. Natomiast z perspektywy różnych narodowości to wyglądało tak: a dlaczego innym ma być lepiej niż nam? My nadal nie będziemy mieli państwa. Zauważmy, że Polska – w sprzyjającej koniunkturze, jaka się wytworzyła w końcowym okresie I wojny światowej – uzyskała szansę odrodzenia się jako coś w rodzaju małego mocarstwa regionalnego, a nie jako państwo ograniczone w swym zakresie suwerenności i granicach ściśle etnograficznych.

B.P. – Tego rodzaju koniunktura jeszcze trzy lata wcześniej była niewyobrażalna.

K.K. – Odrodzenie Polski wymagało klęski wszystkich trzech mocarstw zaborczych, co stało się w końcu 1918 r. faktem, ale co – obiektywnie rzecz biorąc – było mało prawdopodobne. Po 1918 r. ten dar niebios został zaakceptowany, potraktowany przez znaczną część elit jako materializacja trafności ich wcześniejszych prognoz, przez ogół zaś jako realizacja sprawiedliwości dziejowej. Można powiedzieć,



że uważano, iż rzeczy wróciły do właściwego porządku, który za sprawą knoarów złych ludzi został przekreślony w wieku XVIII. Ale dla innych narodowości, różnych innych grup i ich elit wcale nie było to takie oczywiste i trwałość tej koniunktury, w której Polska ponownie pojawiła się na mapie, też nie była oczywista, co tworzyło naturalne podłoże dla późniejszych konfliktów, które wybuchły w wielu miejscach. Przypominam sobie fragment *Rodzinnej Europy* Czesława Miłosza, kiedy wspominając swoich kolegów ze studiów, Żydów, odnotowuje, że uważali oni Polskę za twór państwowy w gruncie rzeczy niezbyt poważny, w zestawieniu np. z Rosją czy Niemcami, czyli potężnymi państwami, które co prawda przejściowo nie układają porządku w tej części Europy – w takiej mierze, w jakiej czyniły to wcześniej – ale przecież w końcu wrócą do swej roli... I takie opinie psuły krew.

E.B. – Chciałabym przypomnieć o znanym fackie rusyfikacji Żydów wileńskich, jak zresztą w ogóle Żydów na tzw. ziemiach zabranych, o których mówił Miłosz, a to właśnie odnosiło się do nich. Trzeba patrzeć na społeczność polskich Żydów w sposób bardziej zróżnicowany. W jakimiś sensie były to nawet odrębne społeczności.

B.P. – Sądzę, że podobnie zróżnicowana była społeczność polską, co nie zmienia faktu, że z tych właśnie odrębnych grup tworzyło się nowe państwo.

E.B. – Jeszcze chcę nawiązać do zgermanizowania Żydów w zaborze pruskim. Akurat teraz czytam książkę Krzysztofa Makowskiego *Siła mitu*, w której dowodzi on, że widzenie zachowania Żydów w Poznańskim zostało w pewien sposób zmanipulowane, a ich zachowania w czasie Wiosny Ludów wcale nie były jednoznacznie proniemieckie.

G.B. – Może w okresie Wiosny Ludów nie, ale po tych sześćdziesięciu latach takie właśnie były.

E.B. – Ale też nie można tego uogólniać. Często posługujemy się stereotypami, jakimiś zbitkami myślowymi, których właściwie nie weryfikujemy.

K.K. – Jeśli można mi tu wziąć Żydów w obronę, to skorzystam z tej okazji. Postawię pytanie, być może przewrotne, być może obrzydliwe: czy obiektywnie rzecz biorąc, ci, którzy wątpili w trwałość państwa polskiego w takich ramach, w jakich odrodziło się ono po I wojnie światowej, nie rozumowali racjonalnie? Wracam do tej perspektywy sprzed roku 1914, kiedy *status quo* wydawało się ustalone i trwałe. Z takiej perspektywy zarówno pomysły Piłsudskiego, jak i Dmowskiego były w gruncie rzeczy szalone. Ludzie rozsądni, którzy bez złudzeń i w swoim mniemaniu trzeźwo odczytali sytuację międzynarodową (czyli konserwatyści), uważali, że niewiele da się zmienić. Na skutek uśmiechu historii i biegu wydarzeń, które same w sobie nie były zbyt prawdopodobne, Polska uzyskała szansę odrodzenia się, a wyobraźnia i determinacja polityków takich jak Piłsudski i Dmowski, którzy potrafili tę koniunkturę dostrzec i optymalnie wyzyskać, umożliwiły odniesienie sukcesu. Wszelkie spekulacje na temat trwałości tej koniunktury, podejmowane w obrębie różnych grup narodowych, zależały od tego, jakie były ich interesy. Inaczej patrzyli na nią Ukraińcy czy Niemcy, którzy chcieli, żeby się państwo polskie zawałiło. W przypadku Żydów, uwzględniając podziały w obrębie społeczności żydowskiej, znacznej części tej społeczności było to obojętne.

W przypadku elit polskich patrzono na to przez pryzmat Wańkowiczowskiego chciejstwa. Zakładano, że państwo się utrzyma, bo nie może się nie utrzymać. Historia dostatecznie długo okrutnie z nami igrała. Tak więc zarówno Piłsudski, jak i Dmowski (bo w tym też byli podobni) poszukiwali sposobów podtrzymania koniunktury międzynarodowej, która zapewniła Polsce odrodzenie. Czasami była to już gra złudzeń – Dmowski jeszcze w latach dwudziestych zakładał, że osłabienie Rosji będzie trwałe i państwo rosyjskie dopiero za kilka pokoleń wróci do rzędu mocarstw. Obaj przywiązywali dużą wagę do antagonizmu rosyjsko-niemieckiego, obawiając się współdziałania tych krajów.

Oczywiście, przypadek wileńskich Żydów był bardzo szczególny, ale można by mnożyć inne, może mniej drastyczne czy nie w tak klarowny sposób przedstawione. W *Moim wieku* Aleksandra

Wata wielkie wrażenie zrobił na mnie opis jego przygody więziennej: w pierwszej połowie lat trzydziestych siedział z grupą młodych ludzi – dzieci najlepszych warszawskich rodzin, bankierskich, fabrykanckich – którzy związali się z partią komunistyczną, bo szukali stabilnego oparcia dla przyszłej kariery życiowej i widzieli się już w roli rzeczników tej wielkiej siły, która tu przyjdzie ze wschodu i zrobi porządek. Widząc siebie jako różnych podsekretarzy stanu, dyrektorów i ministrów, nie przejmowali się kryteriami klasowymi, jak i tym, że z proletariatem oraz jego państwem niewiele ich łączy. Z takiej perspektywy państwo polskie było czymś śmiesznym i nietrafnym.

B.P. – W takiej atmosferze latem 1918 r. elity żydowskie wyraziły wątpliwości, czy Żydzi na ziemiach polskich uzyskają obywatelstwo.

K.K. – Wzięto się to stąd, że reprezentujący interesy polskie na Zachodzie Komitet Narodowy Polski, zyskując prawo wydawania dokumentów – formalnie rzecz biorąc poddany rosyjskim, niemieckim oraz austriackim – musiał działać ostrożnie, aby nie legalizować na terenie państw koalicji osób sprzyjających Niemcom i ich sojusznikom. Bojąc się dywersji i szpiegostwa, alianci wywierali naciski na instytucje polskie, aby stosowne dokumenty otrzymywali jedynie tzw. niewątpliwi Polacy. Problem pojawił się wraz ze skargami Żydów, że są pomijani, i interwencjami różnych władz, do których się odwoływali. W materiałach misji KNP w Londynie zachowała się korespondencja w tej sprawie, w tym monity z Home Office, żeby nie wydawać paszportów nie-Polakom i równie kategoryczne z Foreign Office, że się ich nie wydaje Żydom. Przed wyjazdem Dmowskiego do USA KNP uchylał się od negocjacji; nieoficjalne rozmowy o charakterze sondażu przeprowadził w lecie Kozicki. Jego zapewnienia, że restrykcje mają charakter tymczasowy i kiedy Polska powstanie, Żydzi otrzymają obywatelstwo, zostały przyjęte nieufnie. Jego rozmówcy domagali się zniesienia proklamowanego w 1912 r. bojkotu, gwarancji zapewniających rozwój narodowy oraz prawa do polskiego obywatelstwa dla Żydów urodzonych nie tylko w Polsce, ale i Rosji. Mając na uwadze nasilającą się wojnę domową w Rosji, można się temu żądaniu nie dziwić – z polskiego punktu widzenia jego przyjęcie oznaczałoby jednak zgodę na wjazd do Polski i osiedlenie się nieokreślonej liczby ludzi, o których wiadomo było, że jako uchodźcy będą się znajdować w rozpaczliwej sytuacji materialnej. Nawet ustabilizowane i bogate państwa bronią się przed taką perspektywą. A ponieważ po czterech latach wojny na ziemiach polskich panował głód, czy można się dziwić Kozickiemu i innym politykom KNP? Warto zresztą przypomnieć, że postanowienia podpisanego w następnym roku małego traktatu wersalskiego w tym zakresie nie nakładały na Polskę takiego obowiązku, ograniczając obowiązek nadania praw obywatelskich wyłącznie do ludzi urodzonych na terenie państwa polskiego...

E.B. – ...ta rodzima ludność miała różne pochodzenie etniczne. Myślę, że sformułowanie „niewątpliwi Polacy” trzeba tu traktować jako skrót myślowy...

K.K. – Oczywiście. Niemniej polskie elity otrzymały najgorszy sygnał, jaki mogły otrzymać w perspektywie kontaktów z elitami mniejszościowymi, w tym i żydowskimi – alianci narzucili nam wprawdzie układ, którego nie chcieliśmy, ale i tak to, co musieliśmy przyjąć, było lepsze od tego, na co musimy przystać w imię zgody.

E.B. – Czy trzeba było czekać na naciski zewnętrzne, czy należało rozwiązać sprawę samemu?

K.K. – Z pewnością lepiej byłoby samemu się porozumieć, ale to wymagało uzgodnienia celów narodowych, przy założeniu obustronnej zdolności do kompromisu. Okazało się to niemożliwe nie tylko na odcinku polsko-żydowskim, ale i w relacjach z Ukraińcami, Litwinami... Mały traktat wersalski gwarantował Żydom urodzonym na terenie państwa polskiego prawa obywatelskie, możliwość swobodnego kultywowania religii oraz utrzymywane przez państwo własne szkoły – poza punktem ostatnim Żydzi mogliby wszystko to osiągnąć w drodze kompromisu z polskimi elitami, a w kwestii szkolnictwa kontrola międzynarodowa okazała się mało skuteczna. Natomiast z polskiego punktu widzenia przyjęte

z najwyższą niechęcią postanowienia małego traktatu wersalskiego zawierały jednak mniej niż to, co zapowiadały wcześniejsze sondaże. Płynął stąd niepedagogiczny wniosek, że nieustępliwość popłaca. Należy okopać się, na nic nie godzić, czekać, co będzie – i lepiej na tym wyjdziemy.

Sygnalizowałem, że postulaty prowadzące się do autonomii kulturalnej (w zestawieniu z roszczeniami innych grup narodowościowych) wcale nie były najgroźniejsze, ale gdyby je przyjąć, tworzyłoby to precedens dla innych grup mniejszościowych. Poza tym uwzględniając zróżnicowanie wewnętrzne w obrębie społeczności żydowskiej i to, że jej część, co prawda mniejsza, uważała się za Polaków, tworzenie odrębnej reprezentacji doprowadziłoby do sytuacji, w której Żydzi mieliby prawo do obsadzenia tej swojej wynegocjowanej puli, wynikającej ze statystyki, a jednocześnie głosowaliby na listy polskie. A więc do obsadzenia mandatu, który przypadałby Żydom, potrzeba by było mniej głosów niż do obsadzenia mandatów polskich.

E.B. – I tak byli Żydzi w partiach nieżydowskich.

K.K. – Tak, a w dodatku tę pulę żydowską zdominowałyby ortodoksi i syjoniści. Ortodoksi nie byłiby problemem, z punktu widzenia państwa, natomiast syjoniści...

E.B. – ...też z pewnością nie byłiby problemem, ponieważ uważano ich za tych, którzy będą stymulować emigrację...

K.K. – Ale czy stymulowali emigrację?

E.B. – O ile tylko mogli. Były czynniki ograniczające. W okresie międzywojennym do Palestyny wyemigrowało ponad 100 tys. osób. Ale to znowu jest bardzo skomplikowany obraz.

K.K. – Oczywiście, dlatego rozumiem racje tych, często jak najdalszych od niechęci do Żydów, radykałów oraz socjalistów, którzy przerażili się z powodu problemów, jakie mogły wyniknąć w przypadku zgody na autonomię kulturalną.

B.P. – Jakimi obywatelami byli Żydzi w odrodzonym państwie polskim?

G.B. – Zacznę od uwagi na temat środowiska wówczas najmniej znaczącego na ulicy żydowskiej, natomiast najbardziej zmitologizowanego, jeżeli chodzi o jego wpływ na życie żydowskie w Polsce odrodzonej, czyli od komunistów. Sens istnienia niepodległego państwa polskiego, jego zasięg terytorialny, jego granice negowali w zasadzie tylko komuniści, w tym ci, którzy wywodzili się ze środowiska żydowskiego. Przy czym nie sposób traktować liczącej co najwyżej kilkanaście tysięcy osób grupy jako przedstawicieli narodowych i religijnych interesów polskich Żydów, bowiem negowali oni także sens pielęgnowania żydowskiej odrębności. Nie była ona dla nich wartością samą w sobie. Dążyli do stworzenia społeczeństwa, w którym Żydzi z czasem zaniknęliby jako odrębna kategoria narodowa, kulturowa i religijna. Skądinąd ten model ich towarzysze realizowali systematycznie w Rosji już od 1918 r. Bez popełnienia błędu możemy mówić o otwartej ideologicznej wrogości dzielącej komunistów Żydów i narodowych oraz religijnych przywódców społeczności żydowskiej, jak też miliony tzw. zwykłych obywateli.

B.P. – Jaki był zatem stosunek do naszego państwa tej znakomitej większości?

G.B. – Na pewno przyjęła ona do wiadomości jego powstanie i jego granice. Społeczność żydowska podjęła codzienną współpracę z agendami państwa. Nie odwróciła się do niego plecami. Większość wypełniała swoje obowiązki obywatelskie i poprzez swoich przedstawicieli w Sejmie współuczestniczyła w tworzeniu zasad jego ustroju. Oczywiście, podpisywała się obiema rękami pod tymi z nich, które dawały Żydom, jako grupie narodowo-wyznaniowej, pełne uprawnienia obywatelskie. Z drugiej stro-

ny ta większość – niezależnie od tego, czy byli to ortodoksi, czy liberalni inteligenci – sprzeciwiała się wszelkim próbom ograniczenia jej praw obywatelskich, czy to odrębnymi przepisami, czy też pewnymi działaniami praktycznymi. Przecież próbowano np. ograniczyć dostęp żydowskiej młodzieży do uczelni wyższych w latach 1921–1922. Trudno sobie wyobrazić, żeby takie inicjatywy były przyjmowane przez Żydów do wiadomości bez sprzeciwu. I nie były. Zresztą to jest prawo każdego obywatela w nowoczesnym państwie, żeby bronić tego, co gwarantuje konstytucja. A wówczas równouprawnienie gwarantowały Żydom obie polskie konstytucje – zarówno ta z 1921 r., jak i ta z 1935 r.

K.K. – Rzeczywiście, konstytucja stawiała sprawę jasno, wszyscy obywatele mieli równe prawa obywatelskie, bez różnicowania wedle jakiegokolwiek kryterium. Sformułowania, które mówiły, że władzę zwierzchnią sprawuje naród polski, o tyle nie miały nic do rzeczy, że o tym, jak rozumieć to pojęcie, przesądzały postanowienia ordynacji wyborczej. Naród był rozumiany w sensie liberalnym, to znaczy obejmował po prostu ogół obywateli państwa i tym samym obejmował również, *de iure* oczywiście, ludność żydowską. W praktyce możliwości funkcjonowania czy korzystania z praw obywatelskich tej grupy ludności, jak zresztą innych grup, wynikały ze stanu kultury prawnej i z tego, czy prawo było przestrzegane; a także zależały od ogólnej kondycji państwa i gospodarki. W warunkach powojennej biedy nawet posunięcia konieczne odczuwane były jako dolegliwość. Na przykład próby stabilizacji waluty podjęte przez Władysława Grabskiego – które, jak to często bywa, zaowocowały recesją – miały i taki skutek, że pogłębiły pauperyzację i nasiliły falę emigracyjną, nie tylko Żydów. Ludzie, którzy wyjeżdżali bez środków do życia, byli rozgoryczeni. To też nie pozostawało bez wpływu na kulturowanie różnych resentymentów, także np. za Wielką Wodą.

Cezurą był przewrót majowy. Chociaż istniały elementy ciągłości w polityce państwa, głównie zagranicznej, przewrót zmienił reguły gry w życiu politycznym. Przede wszystkim dawał aparatowi władzy większą swobodę, uwalniając go spod działania mechanizmów społecznej kontroli. W kwestiach narodowościowych deklarowane początkowo zamiary odejścia od kierowania się interesem ludności polskiej zostały wystawione na ciężką próbę po wybuchu Wielkiego Kryzysu. Ale to jest sprawa odrębna. W nowych realiach nie zanikły konflikty, zaczęły natomiast zanikać skrupuły w doborze argumentacji i metod. Na styku polsko-żydowskim specyficznym terenem konfrontacji był dostęp do tzw. wolnych zawodów – bieda zaś sprawiała, że zapotrzebowanie rynku na usługi prawnicze czy nawet medyczne było bardzo ograniczone. To była bardzo brutalna walka o wpływy. Przypominam sobie, z okresu co prawda trochę późniejszego, charakterystyczny tekst młodego prawnika, który ukazał się we „Wszepolaku” w latach trzydziestych i uzasadniał korzyści, płynące z *numerus clausus*. Zaczę od tego, że właściwie nie było w nim zmistyfikowanej argumentacji typu „Żydzi rządzą światem”. Publicysta wskazywał natomiast, że stanowią oni problem, ponieważ jest ich za dużo na studiach i tworzą za silną konkurencję dla młodzieży polskiej. Jeśli wprowadzi się *numerus clausus*, to skróci się okres aplikacji i zwiększy zapotrzebowanie na pracę zawodową polskiej młodzieży. Jednym słowem: zamiast mitologii – biznes.

E.B. – Ale to nie usprawiedliwia cięcia zyletkami.

K.K. – Nie. To niczego nie usprawiedliwia, ale to tłumaczy, z jakich to powodów program wprowadzenia różnego rodzaju ograniczeń dla mniejszości był popularny wśród ludzi młodych, którzy rozpoczynając studia zastanawiali się, co będą robić, kiedy te studia skończą. Idea nieszlachetna, ale zrozumiała – ułatwić drogę sobie przez utrudnienie życia innym. Ja nie jestem pewien, czy obecnie, w przypadku ludzi wchodzących w życie, dokonywane wybory i zachowania są mniej brutalne, nawet jeśli nie znajdują one wyrazu...

G.B. – ...w chuligaństwie politycznym.

K.K. – Tak właśnie. Stosowne rezolucje Młodzież Wszepolska przyjęła w grudniu 1922 r. i przystąpiła do ich forsowania; chodziło o skłonienie rad wydziałów poszczególnych wyższych uczelni do



podejmowania uchwał uzasadniających wprowadzenie *numerus clausus*. Przed wojną do wstąpienia na dowolny wydział uprawniało posiadanie matury, stąd określenie *numerus clausus* występowało w dwóch znaczeniach: w szerszym oznaczało, że liczba studentów w ogóle będzie limitowana; w węższym chodziło o wprowadzenie normy procentowej limitującej odsetek studiujących mniejszości, co w praktyce kierowało się przeciw Żydom. Otóż kiedy w roku następnym inicjatywa ta została wprowadzona przez Związek Ludowo-Narodowy (endecję) na forum Sejmu, to mimo dogodnych warunków – własny rząd z Witosem na czele, nazywany przez przeciwników rządem „Chjeno-Piasta” (a przez nich samych rządem większości polskiej) – przedsięwzięcie skończyło się fiaskiem. Zostało to opisane przez Władysława Konopczyńskiego w książce *Umarli mówią*. Wystąpił z tą inicjatywą jako poseł i właściwie nikt z jego kolegów go nie poparł – zgodnie z jego relacją tego dnia Sejm świecił pustkami, większość rządowa się nie pojawiła, inicjatywa padła. Zapewne obawiano się komplikacji międzynarodowych i cofnięto przed ryzykiem, starając się jedynie zachować pozory podjęcia sprawy dla spacyfikowania młodzieży... Można też powiedzieć, że zadziałała tutaj prawidłowość szersza. System demokracji parlamentarnej wychwycił przejaw tendencji skrajnej i zadziałał na rzecz jej złagodzenia.

Przesłanek świadczących o gotowości środowisk prawicowych do łagodzenia własnego stanowiska było wtedy więcej. W 1925 r. Stanisław Grabski, będący wówczas osobą numer jeden w kierownictwie Związku Ludowo-Narodowego, podjął rozmowy z Kołem Żydowskim w intencji zawarcia ugody. Jej istotą było udzielenie przez Koło poparcia większości rządowej i odejście od smutnej praktyki oprostowywania każdego gabinetu jako nieprzyjaznego.

E.B. – Koło Żydowskie, czyli ostatecznie pięciu postów?

K.K. – Wydaje mi się, że liczyło więcej, ale to nie jest najistotniejsze¹. Grabskiemu nie chodziło o arytmetykę sejmową, ale o poparcie międzynarodowe, o możliwościach którego, jak wielu w Polsce, miał bardzo wygórowane wyobrażenie. Poza tym oczywiście zależało mu na odciążeniu Żydów od współpracy z Blokiem Mniejszości Narodowych. Rozmowy Grabskiego okazały się jednak nieskuteczne, został również w obrębie własnego obozu oprostowany. Nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy w przypadku dłuższego trwania demokracji parlamentarnej tego rodzaju dążenia do kompromisu nie wytworzyłyby jakichś wartości trwałych i nie doprowadziły np. do tego, że Narodowa Demokracja przekształciłaby się w partię mieszczańską typu zachodniego, ze wszystkimi konsekwencjami tego stanu rzeczy dla kształtu polskiej sceny politycznej. Ewolucję endecji w tym kierunku przerwał przewrót majowy – jak daleko by szła, nie dowiemy się.

G.B. – Chciałbym wrócić do pytania, czy Żydzi, którzy byli obywatelami państwa polskiego, wywiązywali się ze swoich obowiązków wobec tego państwa. Różnorakich – podatkowych, wojskowych...

B.P. – ...czy ulegali procesowi akulturacji i asymilacji państwowej?

G.B. – W moim przekonaniu zauważalny był proces powolnej, aczkolwiek systematycznej asymilacji i akulturacji w polskim otoczeniu. Setki tysięcy dzieci żydowskich ukończyło państwowe szkoły powszechne, wkraczając na drogę wyjścia z getta językowego i kulturowego. Co najmniej 140 tys. młodych mężczyzn odbyło służbę zasadniczą w Wojsku Polskim. Byli obywatelami, podatnikami, żołnierzami, w razie potrzeby gotowymi do obrony państwa. Stanęli do niej zresztą w 1939 r. Stopniowo postępowało wrastanie setek tysięcy ludzi w polską tkankę państwową i społeczną. Nie zamierzam wyolbrzymiać zakresu tego zjawiska dla lat 1918–1939, ale nie można o nim zapominać. A często w narracji na temat życia żydowskiego w Polsce w dwudziestoleciu międzywojennym akcent kładzie się na to, co je utrudniało, co czyniło ciężkim, pomijając sukcesy i bujność żydowskich inicjatyw w różnych dziedzinach.

¹ Wówczas liczyło 36 postów – red.

W publikacjach opisujących stan świadomości młodych Żydów w Polsce drugiej połowy lat trzydziestych chętnie przywołuje się pojęcie „straconego pokolenia”, wyjaśniając ich wstrzemięźliwy albo coraz bardziej krytyczny stosunek do ówczesnych realiów politycznych. Zapomina się przy tym, że takie stracone pokolenie występowało też wśród młodych Polaków niemających pracy czy możliwości zdobycia wykształcenia. To jest też często popełniany błąd w opisywaniu wzajemnych relacji – opisuje się tylko jedną grupę.

B.P. – Po każdym kataklizmie, jakim jest wojna, zawsze i wszędzie pojawia się takie stracone pokolenie, co nie zmienia postaci rzeczy, że wysiłek i entuzjazm społeczny Polaków tworzący odbudowie państwa był niezwykły.

G.B. – Ktoś kiedyś powiedział, że największymi ofiarami wszelkich polsko-żydowskich antagonizmów XX w., czasami – jak w latach trzydziestych – przybierających bardzo brutalną postać, byli ci, którzy chcieli się znaleźć na „polskiej ulicy”, czyli w polskim społeczeństwie. To w nim chcieli się realizować. Z bólem i gniewem przyjmowali odmawianie im prawa wyboru polskiej opcji. Bo tym, którzy chcieli pozostać w izolacji religijno-językowej, w swoistym getcie, nie zależało na skracaniu dystansu dzielącego chrześcijan i wyznawców judaizmu. Domagali się tylko, by mogli bezpiecznie żyć w zgodzie ze swoimi prawami i zwyczajami. Ale ta grupa z wolna topniała. Dobrze ilustrują to liczne zdjęcia rodzinne zamieszczone w tzw. księgach pamięci, wydanych po wojnie przez ziomkostwa polskich Żydów. Na większości tych wykonanych w latach 1918–1939 tylko ludzie sędziwi mają wygląd ortodoksów religijnych, osoby w średnim i młodym wieku nie noszą ani tradycyjnych strojów, ani fryzur. Jest to widowym znakiem zachodzących wówczas procesów modernizacyjnych. W Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych torowały one drogę przyspieszonej asymilacji.

B.P. – Ale jaki to był procent tej społeczności?

G.B. – Odrębność Żydów determinowała przez stulecia religia i funkcje gospodarcze wyznaczone im w Polsce przez elity feudalne. O procesie odchodzenia od ortodoksji już wspominałem. Co do dominacji Żydów w handlu i rzemiośle, to i tu sytuacja zaczęła się zmieniać. W kresowych miasteczkach coraz większy odsetek kramów i warsztatów był w posiadaniu chrześcijańskich kupców i rzemieślników. Prowadziło to do nieuchronnych zmian społecznych i kulturowych. Ten proces, który powodował – tak jak w Europie w XIX w. – upodabnianie się Żydów do otoczenia, został przecięty agresją dwóch wielkich sąsiadów. Zmierzam do stwierdzenia, że wprawdzie w dwudziestoleciu międzywojennym odsetek asymilowanych Żydów był znacznie niższy niż w Europie Zachodniej, to jednak analogiczne procesy postępowały również w Polsce. Niestety, odmawianie Żydom prawa do polskości – w czym specjalizował się radykalny ruch narodowy – sprawiło, że tysiące ludzi zamiast stawać się Polakami wyznania możeszowego lub tylko pochodzenia żydowskiego, odpowiadało na wykluczenie dotąd przynależnym do nowoczesnych żydowskich ruchów narodowych czy komunistycznych internacjonalistów. Ale ta sytuacja nie musiała trwać w nieskończoność, a na pewno nie musiała dotyczyć w dalszej perspektywie większości polskich Żydów. Twierdzą, że tak być nie musiało, chociaż na podsycaniu złej atmosfery i nastrojów fatalistycznych zależało różnym środowiskom. Zabrakło czasu, by wzajemne relacje uległy uspokojeniu.

E.B. – Rozwój ruchu spółdzielczego, zwłaszcza w centralnej Polsce i na Ukrainie – to była ta największa konkurencja dla tradycyjnego, drobnego handlu, żydowskich sklepów i warsztatów. Pani spytała o proporcje. O ile dobrze pamiętam, ok. 70 proc. dzieci żydowskich chodziło do państwowych szkół, a więc ogromnie dużo, to pokazuje skalę tych przekształceń. I naprawdę nie wiemy, jak dalece i jak szybko mogła zmienić się ta społeczność żydowska, gdyby nie agresja niemiecka.

G.B. – To było trudne sąsiedztwo, jednak na co dzień ludzie funkcjonowali obok siebie. Obecność żydowskiego sąsiada, czy jakiegokolwiek innego, była przyjmowana jako rzecz normalna.

E.B. – Nie wiem, czy państwo zdajecie sobie z tego sprawę, ale jednym z problemów, które nurtowały intelektualistów w getcie warszawskim, było pytanie – dlaczego w getcie mówi się po polsku? Ci, którzy ten problem widzieli, byli zwolennikami zachowania odrębności i chcieli, żeby to była społeczność operująca językami żydowskimi.

K.K. – Z prawdziwą przyjemnością słucham tych wywodów, ale pamiętajmy, że międzynarodowe zobowiązania Polski nakładały na nasz kraj obowiązek utrzymywania odrębnych szkół. A więc oświata to właśnie był ten segment, w którym państwo nie wywiązało się z tego obowiązku...

G.B. – Państwo zwalczało szkoły z językiem ukraińskim czy białoruskim, ich liczba gwałtownie malała. Nie było natomiast akcji państwowej wymierzonej w prywatne szkolnictwo żydowskie – czy to syjonistyczne, czy bundowskie – kształcące dzieci w językach żydowskich. Były to jednak szkoły prywatne, odpłatne i ogromnej części rodziców nie było stać na to, żeby do nich posyłać dzieci. W szkołach państwowych, czy chcieli tego, czy nie, państwo polskie jako organizator szkolnictwa powszechnego stało się regulatorem procesu akulturacyjnego i asymilacyjnego młodego pokolenia Żydów.

B.P. – Czy akulturacja oznaczała asymilację?

G.B. – Nie zawsze, w części tak, a w części nie.

E.B. – Przy tych właśnie procesach bardzo istotny był czynnik syjonizmu. Syjoniści mogli pochodzić z rodzin już zasymilowanych. W ich przypadku można mówić o odwróceniu od asymilacji.

B.P. – Przedstawiony do tej pory przez państwa obraz jest prawie idylliczny.

G.B. – Przedstawiamy obraz odbiegający od stereotypowego wizerunku lat trzydziestych. Ja zwracam uwagę na te aspekty, które na ogół są pomijane.

E.B. – Konflikty nie były codziennością, one oczywiście istniały, ale przecież na co dzień toczyło się normalne życie.

K.K. – W relacjach, publicystyce, zwłaszcza w tekstach wychodzących spod pióra autorów młodych czy związanych ze strukturami, które się określały jako młodzieżowe, w drugiej połowie lat trzydziestych, i to nie tylko w obrębie obozu narodowego, dominowały głosy o innej wymowie, bojowe, łącznie ze stwierdzeniami o wojnie polsko-żydowskiej.

B.P. – Postulowanej czy trwającej?

K.K. – Trwającej, np. wojnie o kramik. Wszystkie odrażające incydenty żyłkowe, o których pani wspominała, też mieściłyby się w kategoriach wojny, ponieważ jest to przecież użycie przemocy i agresja fizyczna. Należałoby znowu zważyć problem skali tych zjawisk. Gdyby rzeczywiście była ona taka, jak to wynika z niektórych pozostawionych świadectw pisanych, to w Polsce po prostu wówczas nie dałoby się żyć, choćby z tego powodu, że zatrudnienie w policji, o ile pamiętam, nie przekraczało 35 tys. i na całym obszarze dużego państwa nie byłaby ona w stanie zapanować nad sytuacją. Rzeczpospolita była państwem wielonarodowościowym i społeczność żydowska nie była najliczniejsza. Gdybyśmy jednak mierzyli polsko-żydowski styk narodowościowy (tworząc tu takie pojęcie), to on był na pewno najrozleglejszy, bo przebiegał przez wszystkie miasta i miasteczka, także na terenie, na którym ludność polska przeważała. A zatem opisywany przez publicystów stan tworzyłby dla państwa problem, którego rozwiązanie byłoby ponad jego siły. Tymczasem skala incydentów, do których dochodziło (wyłączywszy obszar wyższych uczelni, a także sytuację, kiedy, jak w Przytyku, władze traciły kontrolę), nie była taka, jak skala alarmu w tej sprawie.

G.B. – Nigdzie też władze nie widziały konieczności zastosowania na dłuższą metę takich środków, jakie zastosowano do spacyfikowania konfliktu między państwem polskim a społecznością ukraińską na Kresach Południowo-Wschodnich. Do spacyfikowania antypaństwowych radykałów z kręgu komunistycznego, niezależnie od ich narodowości, wystarczały siły kontrwywiadu i policji.

K.K. – Wprowadziłbym do tego obrazu jednak trochę niepokoju. Państwo ze swoimi przeciwnikami rozprawiało się w sposób bezwzględny, z użyciem tego rodzaju środków, które są nie do pomyślenia w demokratycznym państwie prawa...

E.B. – ...więzienia, tortury...

K.K. – To nie tylko o to chodzi. Do utworzonego w 1934 r. miejsca odosobnienia w Berezie Kartuskiej zsyłano na podstawie decyzji administracyjnej z ominięciem procedury sądowej; i było takich przypadków całkiem sporo. Takie działania kierowano przeciw ekstremistom – z punktu widzenia państwa – to znaczy przeciw komunistom, nacjonalistom ukraińskim, początkowo jednak właśnie przeciw młodzieży narodowej, znalazł się tam pierwszy krąg przywódcy ONR. Podobno początkowo Piłsudski miał się zgodzić na tę, jak się wyraził, *czerezwycajkę*, na rok, ale również po jego śmierci miała się ona dobrze. W roku 1937 został sporządzony w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych taki rodzaj podsumowania działalności z pytaniem, czy zamknąć Berezę – chodziło o to, że w opinii, która została wysnuta z meldunków spływających z poszczególnych województw, „spełniała ona swoją rolę odstraszającą”. W raporcie stwierdzono, że osadzone tam osoby „uspokoily się” po zwolnieniu albo nawet podjęły współpracę z policją. To była jedna z technik, za pomocą której państwo radziło sobie ze zjawiskami, z jego punktu widzenia kłopotliwymi. Z takim brutalnym działaniem jest jednak tak, że tworzy ono więcej problemów, niż rozwiązuje.

Po przewrocie majowym polska polityka stała się chaotyczna – były deklaracje zgody i współpracy z mniejszościami, potem zaś represje na skalę nieporównanie większą niż była do pomyślenia przed majem, a później znowu wracano do polityki obietnic. W efekcie wytworzyło to sytuację niestabilną. Czy represjami można kogoś przekonać? A i odstraszanie, w sytuacji kiedy polityka represji nie układa się w jakiś dłuższy, przewidywalny ciąg, przestaje być skuteczna.

W przypadku „odcinka” polsko-żydowskiego, po przewrocie początkowo zapanowała niemal idylla. Koło Żydowskie złożyło deklarację popierającą rząd Kazimierza Bartla, mówiąc, że jest on korzystniejszy niż jakikolwiek inny. Obóz pomajowy osiągnął to, że politycy żydowscy wycofali się ze swego zaangażowania w działania Bloku Mniejszości Narodowych. Z punktu widzenia państwa poparcie Bloku Bezpartyjnego przyniosło mniej problemów niż wcześniejsze popieranie Bloku Mniejszości Narodowych. Z punktu widzenia polskich ugrupowań opozycyjnych sprawa się skomplikowała, bo do listy pretensji wobec Żydów doszło i to, że popierają wstrętą sanację. I to, że endecy się w tym momencie zezłościłi, jak gdyby rozumie się samo przez się, ale również w prasie ludowej można znaleźć podobne akcenty. Był to jeden z czynników, który sprzyjał zaostrożaniu opinii części elit polskich na sprawy społeczne wiążące się z kwestią żydowską.

B.P. – Na to wszystko nakładał się kryzys gospodarczy.

K.K. – Tak. Zaostrzał on konflikty i rzucał ludzi przeciw sobie. Przypominam sobie charakterystyczny komentarz publicysty Związku Ludowo-Narodowego zatytułowany bodaj *Dlaczego Żydów zwalczamy*. Eksponował jeden z dominujących motywów w propagandzie obozu narodowego – motyw stanu posiadania w handlu. Teraz – wskazywano – rządzą nim Żydzi, ale gdyby na ich miejscu byli Francuzi, Anglicy czy Chińczycy, sytuacja byłaby dla wolnego narodu tak samo nie do zniesienia. Tego rodzaju sformułowania w drugiej połowie lat dwudziestych (tekst pochodził z 1927 lub 1928 r.) nie miały tej mocy oddziaływania, jaką uzyskały kilka lat później, kiedy rynek się załamał, dochód narodowy spadł więcej niż o 40 proc., odszetek zarejestrowanych bezrobotnych wzrósł z trzech do ponad czterdziestu, plus wielomilionowe bezrobocie na wsi. W takich warunkach dramatyczne pytanie: kto kogo? nabrało ponurej aktualności.

E.B. – Wciąż postrzegano Żydów jako obcych, jako nie-Polaków. Czy nie było to sprzeczne z polityką państwa? Bo jeśli wszyscy obywatele są równi wobec prawa, to właściwie nie ma żadnego powodu do wydobywania tego, że ktoś jest innej wiary.

K.K. – Nie ma, ale, niestety, podobne głosy można znaleźć wszędzie. Jeśli w prasie „postępowej”, bo w „Głosie Prawdy” o jednym z przywódców Narodowej Demokracji pisze się „rebe Stroński”, jeśli się wykazuje, że jeden z głównych publicystów, Adolf Nowaczyński, tak naprawdę nazywa się Neuwert, jeśli w tomikach Tuwima (wydanych po wojnie) znaleźć można rymowane fraszki na temat żydowskiego pochodzenia Stanisława Piaseckiego wydającego „Prosto z mostu” – to używano *de facto* argumentów rasistowskich. I posługiwali się nimi także reprezentanci obozu, który dzisiaj pewnie nazwałby się liberalnym i politycznie poprawnym. Nie wiem, czy można tu mówić o jakichś kulturowych podatnościach, myślę raczej, że był to także efekt braku skrupułów, który często zdarza się w publicystyce. Pewnie z perspektywy społeczności żydowskiej mogło to być irytujące. Poza tym właściwie cokolwiek by robili, to wychodziło źle – jeśli się izolowali od społeczeństwa polskiego, to było to źródło problemów...

E.B. – ...a jak się próbowali zbliżyć, to nie byli przyjmowani.

K.K. – Nawet nie tak. Droga do asymilacji wiodła albo przez komunizm – co było totalnie kiepskim pomysłem – albo odbywało się to w obrębie obozu postępowo-liberalnego, co w pewnym momencie oznaczało orientowanie się raczej na Piłsudskiego. To wiązało się oczywiście z pozytywnym zaangażowaniem w budowę państwa, ale też oznaczało wejście na teren brutalnych walk między obozami politycznymi. I dlatego w pewnym momencie prawica sięgała po argumenty dotyczące pochodzenia. Rzeczywiście, była to sytuacja bardzo ciężka i niekomfortowa, chociaż przypuszczam, że politycy niespecjalnie się przejmowali tego typu atakami.

W latach siedemdziesiątych ukazała się książeczka Wojciecha Wasiutyńskiego, niewielka, bardzo inteligentnie napisana, *Źródła niepodległości*, stanowiąca próbę zaadaptowania ideologii narodo-demokratycznej do zmienionych warunków. Postawił w niej m.in. tezę, że Polska bardzo straciła na tym, że stała się krajem monokulturowym i monoetnicznym. Kultura polska została odcięta od kontaktów z innymi kulturami, w relacjach z którymi znakomicie sobie radziła, zachowując nie tylko tożsamość, ale i atrakcyjność, także wyrażającą się w przyćmianiu do polskości osób przychodzących z zewnątrz. W każdym razie Żydzi, nawet jeśli było to źle przyjmowane, garnęli się do tej kultury. Wcześniej, około 1936 r., Wasiutyński napisał taki futurystyczny szkic o tym, jak sobie wyobraża Polskę za lat pięćdziesiąt. Stosownie do pomysłów dekoncentracji wytwórczości wyobrażał ją sobie jako wielką wieś, gdzie się w każdej chacie stawia miniaturę wielkiego pieca i stalowni, i wokół powstaje wszystko, co jest potrzebne. Ukraińcy są oczywiście spolonizowani, chociaż noszą własne nazwiska. I dodaje tak jakby mimochodem „chałat, to rzadkość” – ale nie wyobrażał sobie, że może go po prostu nie być, mimo całej niechęci do Żydów.

E.B. – Czy to znaczy, że on widział rozwiązanie w emigracji, czy w akulturacji?

K.K. – Z tego właściwie nic nie wynika, bo on nie rozwinął tej myśli. Przypuszczam, że jednak wyobrażał sobie emigrację jako rozwiązanie optymalne, ale nie sądził, by ta emigracja mogła doprowadzić do takiego rezultatu, że Żydów w Polsce po prostu nie będzie.

E.B. – Chałat jako symbol Żyda to kolejny przykład stereotypu. Dla żydowskiej inteligencji, dla elit, chałat był tak samo obcym elementem. We wspomnieniach Zusmana Segalowicza (działał w Pen Clubie żydowskim i w Związku Literatów i Pisarzy, który miał siedzibę na Tłomackim 13) czytamy – patrzę przez okno i widzę ten tłum ludzi, którzy są ubrani tak dziwnie, w chałatach. Co my mamy z nimi wspólnego? Rozwarstwienie społeczeństwa żydowskiego było naprawdę ogromne. Ja z uporem maniaka do tego wracam, ale operowanie kategorią „Żydzi” przy ponad trzech milionach ludzi

– którzy po pierwsze byli na całym terytorium Polski, po drugie reprezentowali bardzo różną kulturę, bardzo różne rodowody, wykształcenie itd. – zaciemnia obraz tej społeczności.

B.P. – Pewnie nie da się tego uniknąć. Tak samo mówi się: Polacy, a nie wiem, czy byli oni mniej zróżnicowani społecznie i kulturowo. Zawsze można pytać: Żydzi – ale jacy, Polacy – ale jacy? Polityka jednak tym różni się od socjologii, że czasami operuje dużymi uproszczeniami.

K.K. – Były tam jednak również różnice językowe, ale jeśli chodzi o skalę wewnętrznego skłócenia i podziałów politycznych, to wydaje mi się, że w tym względzie albo Żydzi są podobni do nas, albo my do nich...

E.B. – Nie pierwszy raz to słyszę...

B.P. – Nie padło w tej rozmowie ani razu słowo antysemityzm. A przecież mówiąc o Polsce i Polakach, bardzo często stawia się ten zarzut, mający nas dyskredytować w oczach świata. „Polski antysemityzm” w opiniach np. amerykańskich Żydów (co ciekawe, często potomków przybyszów z carskiej i bolszewickiej Rosji) jest prawie szatańskim zjawiskiem. Szczególnie dotyczy to lat międzywojennych, ale nie tylko...

E.B. – Antysemityzm jest zawsze straszny, chociaż czasem nie jest nawet uświadomiony. Nie używałabym terminu „polski antysemityzm”, raczej antysemityzm w Polsce (niestety, istnieje i dziś). Zjawiska antysemityczne przejawiały się tu w okresie międzywojennym w bardzo różny sposób, od złośliwości aż po zabójstwa. Pani wspomniała o Rosji, a nie mówiliśmy tu w ogóle o Niemczech, w których antysemityka była polityką państwa. Chociaż w przypadku Felicjana Sławoja Składkowskiego można tak to zakwalifikować i na ogół tak właśnie jest to interpretowane. W czerwcu 1936 r. w Sejmie wypowiedział takie zdanie: „walka ekonomiczna owszem, ale krzywdy żadnej” – to zostało odebrane jako potępienie otwartej przemocy, ale równocześnie obojętność wobec bojkotu gospodarczego. Gdyby szukać usprawiedliwień i mówić, że tutaj nie było tak okropnie, to chyba w tym sensie, że mimo antysemityzmu rozwijała się kultura, nauka, życie religijne w różnorodnych formach...

B.P. – Nie o takie konstatacje mi chodzi, ale o to, że na świecie istnieje bardzo silna propaganda dotycząca właśnie owego „polskiego antysemityzmu”. I za nią są odpowiedzialni sami Żydzi, ci, których dzieli ogromny dystans nie tylko przestrzeni, ale przede wszystkim losu, od tego, co działo się w Polsce przed wojną i w czasie wojny.

E.B. – A więc znowu – nie mówmy o Żydach generalnie. Rozumiem, że chodzi o tych ludzi, którzy wyjeżdżali stąd w wyniku antysemityzmu. Ci, którzy wyemigrowali przed I wojną światową, po procesie Mendela Bejlisa w 1913 r., uważali, że zagraża im niebezpieczeństwo. W okresie międzywojennym wyjeżdżali z pustymi kieszeniami i z takim obrazem, że z powodu bojkotu gospodarczego tu się nie da ani pracować, ani przeżyć. Kolejni emigrowali po pogromie w Kielcach, co też determinowało ich widzenie Polski, podobnie jak Marzec określał widzenie tych, którzy po nim wyjechali.

B.P. – Ale to przecież niejedynie grupy czy fale emigracji polskich Żydów, wyjeżdżali choćby pod koniec lat czterdziestych, w latach pięćdziesiątych.

E.B. – Ale ja mówię o tych, którzy emigrowali po takich doświadczeniach, które traktowali jako efekt polityki państwa, tak przecież był m.in. traktowany pogrom kielecki – państwo nie interweniowało.

K.K. – Czy nie jest tak, że kraje mające sobie o wiele więcej do zarzucenia, stymulują utrwalanie tego rodzaju stereotypu, który medialnie zdejmuje z nich ten ciężar? Przed rokiem 1914 czołowym krajem antysemitycznym była oczywiście Rosja...

E.B. – ...i Francja...

K.K. – ...z uwagi na resentymenty po sprawie Alfreda Dreyfusa, co jednak okazało się epizodem. Z perspektywy II wojny światowej – to oczywiście Niemcy, z perspektywy czasu bezpośrednio po I wojnie światowej – zapewne Ukraina. W każdym z tych przypadków to, że Polacy stawali się takim brzydkim chłopcem – to jednym, to drugim ułatwiało sytuację: Ukrainie może najmniej, bo ona nie zaistniała jako realny podmiot. Może w przypadku Żydów amerykańskich czy środowisk reprezentatywnych dla społeczności żydowskiej w Stanach Zjednoczonych w grę wchodzi jakieś zrzucenie odpowiedzialności z siebie za Holokaust, za brak reakcji, choć nie wiem również, co realnie w czasie wojny można było z amerykańskiej perspektywy zrobić.

E.B. – Jednak nie za Holokaust! Tylko za brak reakcji. Nie uwierzono Janowi Karskiemu, nie zareagowano. O tym możemy i powinniśmy mówić. O jeszcze jednym chcę powiedzieć. Większość Żydów amerykańskich wywodzi się z terenów I Rzeczypospolitej, przede wszystkim z tych, które po Powstaniu Styczniowym znalazły się bezpośrednio pod administracją rosyjską, wobec tego oni (czy raczej ich przodkowie) emigrowali stąd w tych wszystkich okolicznościach, o których wcześniej wspominałam, i także po fali pogromów w latach osiemdziesiątych XIX w. (głównie na terenie obecnej Ukrainy). A druga sprawa – to, że tutaj w czasie II wojny zginęła większość Żydów, co wywoływało (i chyba dalej wywołuje) stwierdzenia: zginęli, bo naokoło byli sami antysemitami, współpracujący z Niemcami. To oczywiście nieuprawnione uogólnienie.

Prowadzi się rozważania, ile trzeba było rodzin czy osób, żeby uratować przynajmniej jednego Żyda – ale dlaczego trzeba było tak wielu? Dlatego, że to nie było tak, że ktoś znalazł schronienie i tam przeczekał wojnę i okupację – bo zagrożeniem było otoczenie – i dla ukrywającego, i dla ukrywanego. Trzeba było zmieniać miejsce pobytu dlatego, że ktoś wydał, ktoś doniósł. A więc to wszystko ma dwie strony – i poświadczenie tych, którzy ratowali, i te problemy z innymi sąsiadami.

G.B. – Żydowskie świadectwa na temat zdarzeń z różnych obszarów okupowanej Polski potwierdzają, że czynów zbrodniczych lub co najmniej niegodziwych dopuściły się wobec Żydów tysiące przedwojennych sąsiadów nie-Żydów. Przyznam jednak, że nie jestem w stanie stwierdzić, czy można mówić o dziesiątkach tysięcy ludzi, a już tym bardziej o setkach czy milionach. Te nieokreślone tysiące są dziś niejednokrotnie wykorzystywane do kreślenia obrazu stosunku nieżydowskiego otoczenia do dyskryminowanych i mordowanych Żydów. Tak więc działalność znikomej części populacji polskich sąsiadów determinuje obraz dominującej większości. To sytuacja nie do zaakceptowania. Jest pewien pośredni efekt dotychczasowych badań nad skalą represji za udzielanie pomocy Żydom. Otóż liczba potwierdzonych przypadków denuncjacji jest kilkakrotnie mniejsza niż liczba Sprawiedliwych wśród Narodów Świata z terenu Polski. A jak wiemy, osoby uhonorowane tym tytułem stanowią tylko część tych, którzy udzielali Żydom pomocy. Pojawia się więc pytanie o to, czy gdyby plaga donosicielstwa wymierzonego w Żydów i osoby ich wspomagające dotyczyła dziesiątków tysięcy lub większej liczby osób, efekty ich zbrodniczej działalności nie powinny być większe, przyjmując wymiar tysięcy represjonowanych. To, że jest inaczej, skłania mnie do zachowania ostrożności i nienadawania pladze donosicielstwa znamion zachowań obciążających sumienie setek tysięcy, a tym bardziej milionów ludzi. Niemcy dbali o to, by świadomość konsekwencji udzielenia pomocy Żydom była powszechna, a życiowe doświadczenie i znajomość natury ludzkiej, jak też nagłaśniane przez okupanta fakty represji, generowały strach przed donosem i nakazywały zachowanie ostrożności. Ale powszechność strachu przed donosem nie jest równoznaczna z tym, że w okupowanej Polsce więcej niż ułamek procenta społeczeństwa parął się donosicielstwem. Jeden procent przedwojennej populacji Polski to ok. 300 tys. ludzi. Jak dotąd nikt nie dostarczył dowodów, że w Polsce lat okupacji było 300 tys. donosicieli. Było ich więc najpewniej mniej niż 1 proc. Ułamek procenta to – moim zdaniem – za mało, by czynić ogół społeczeństwa odpowiedzialnym za to zjawisko.

K.K. – Nawigując do pani wypowiedzi, powiedziałbym, że jest to naturalna reakcja społeczności zagrożonej inwigilacją i naciskiem. W warunkach lat osiemdziesiątych utrzymanie gdzieś podziem-

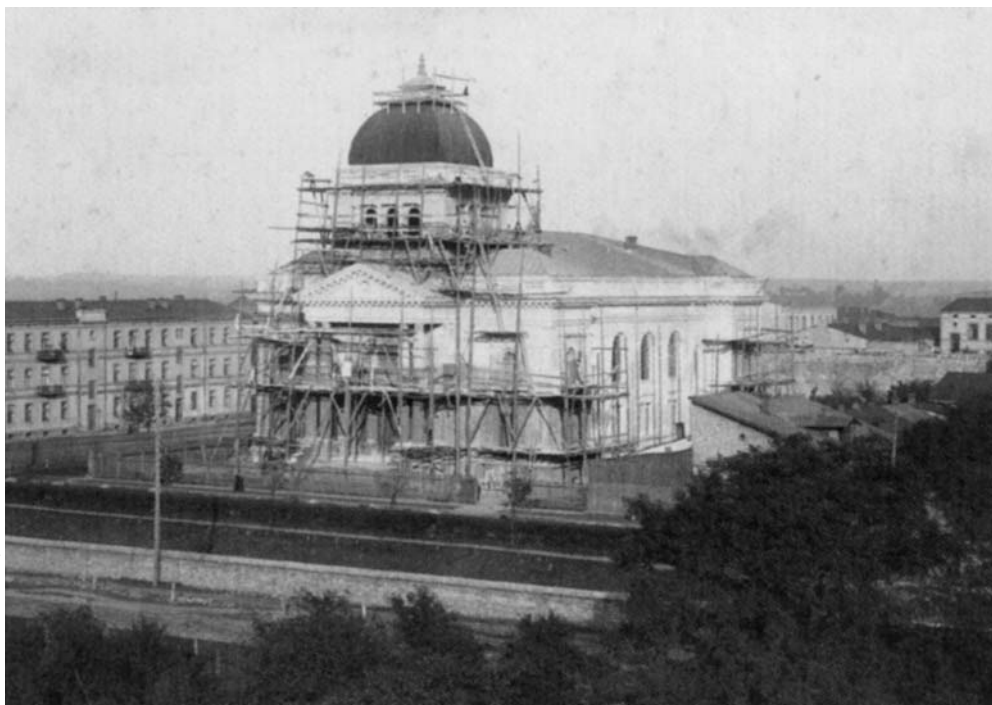
nej drukarni, jeśli była ona prowadzona w sposób ostentacyjny, bez zachowania procedur i bez zmiany miejsca, też kończyło się wpadką, mimo że teoretycznie podobno całe społeczeństwo było przeciw komunie.

E.B. – Ludzkie zachowania w czasie wojny dają taki niejednoznaczny obraz. W zależności od tego, na jakich ludzi ktoś trafił, taki obraz zachował. Do tego dochodzi późniejsza wiedza o koszmarnych doświadczeniach innych ludzi. Te wszystkie obrazy nakładają się na siebie. Myślę, że przynajmniej niektórzy, w tym niektórzy Żydzi w Stanach, zdają sobie sprawę, że w czasie II wojny amerykańscy Żydzi nic nie zrobili, aby ratować swych współbraci w Europie. To samo można powiedzieć o Żydach, którzy przed wojną znaleźli się w Palestynie. Tylko nieliczni zgłaszali się do armii brytyjskiej, bo chcieli tutaj coś zrobić i pomagać. Dobrze byłoby przedstawić wszystkie czynniki, ale to jest bardzo trudne.

K.K. – Liczy się coś takiego jak poszukiwanie prawdy, a nie negocjowanie na podstawie obrazu, który chciałoby się bronić. Wydaje mi się, że to, o czym zawsze warto pamiętać, to jest różnicowanie, niuanse materii. Odnosi się to również do społeczności polskiej. W kontekście omawiania stosunków polsko-żydowskich istnieje niebezpieczeństwo używania takich wspólnych mianowników, łatwego uogólniania, widzenia stereotypowego wielkich społeczności.

Jeśli ktoś występuje publicznie, to zakłada się, że czyni to nie w swoim imieniu czy ewentualnie grupy politycznej, z którą jest związany – ale jest reprezentantem całego narodu i to nie jednego pokolenia, lecz kilku pokoleń wstecz i tych, które dopiero się pojawią. A jego czyny będą pamiętane na wieczne czasy. Przecież takie myślenie to absurd. Jeżeli się w takie szaleństwo wpadnie, to zaczyna się postrzegać społeczność w sposób zmistyfikowany, a poszczególne słowa mają charakter bardzo obciążonych emocjonalnie epitetów albo czegoś w rodzaju „pałek poznawczych”, po których użyciu wszystko staje się jasne i oczywiste.

Fot. Muzeum Częstochowskie



Nieistniejąca już nowa synagoga w Częstochowie, spalona 25 grudnia 1939 r. przez Niemców